

MAGAZYN OPINII

# Pismo.

WOKÓŁ  
PISMA

WYDANIE SPECJALNE NR 1/22 JESIEŃ 2022

Najlepsze teksty  
z pięciu lat magazynu



CENA: 18,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 434035  
0 1 >



9 772544 502210



MAGAZYN OPINII

# Pismo.

WOKÓŁ  
PISMA

WYDANIE SPECJALNE NR 1/22 JESIEŃ 2022







# O kucharkach i kucharzach

tekst PIOTR NESTEROWICZ

## PIOTR NESTEROWICZ

(ur. 1971), twórca i wydawca „Pisma. Magazynu Opinii”. Prezes Zarządu Fundacji Pismo. Producent Śledztwa Pisma. Autor esejów, reportaży, opowiadań i powieści. W 2015 roku za reportaż *Cudowna* otrzymał Nagrodę Literacką im. Wiesława Kazaneckiego oraz nominacje do Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego i Nagrody Literackiej Nike.

**K**iedy niemal pięć lat temu ukazał się pierwszy numer „Pisma”, towarzyszyło mu słowo wstępne, w którym, posiłkując się wypowiedzią Haliny Bortnowskiej, porównałem zamysł stworzenia miesięcznika do gotowania zupy. Czy smacznej, oceńcie sami, choć – skoro za chwilę będziemy świętować pięciolecie – uzasadniona jest zapewne hipoteza, że sprawdził się przepis z wnikliwych i niepartijnych tekstów, ilustracji i zdjęć oraz wyjątkowych autorek i autorów, którego ważnym składnikiem są darczyńcy, a przede wszystkim czytelniczki i czytelnicy. Ale cały ten kulinarny fajerwerk by się nie powiódł, gdyby nie kucharze.

Koncepcję „Pisma” tworzyłem wspólnie z Agnieszką – o przebiegu naszej wizyty u notariusza zakładającej Fundację Pismo krążą wewnętrzne legendy – oraz z Piotrem; przez lata tworzyliśmy zarząd fundacji. Szczęśliwie dla nas wszystkich tylko przez pierwszy rok łączyłem role wydawcy i redaktora naczelnego (taka fuzja, zapewniam, nie jest dobra ani dla projektu, ani dla jednostki). Od początku 2019 roku Magda z powodzeniem prowadzi redakcję w sposób, który daje mi – przyznam się tutaj do mocnego uczucia ojcostwa wobec „Pisma” – poczucie komfortu, że miesięcznik jest w dobrych rękach. O tym, że Magda jest redaktorką naczelną, zapewne wiecie, ale być może nie zdajecie sobie sprawy, że żaden numer „Pisma” nie ukazałby się bez Kasi. To osoba o wielu talentach, sekretarzynie redakcji spinająca proces wydawniczy, która równocześnie prowadzi wydania specjalne, prozę, kulturę, macza palce w komiksach i fotoreportażach, a przez pewien czas koordynowała też Idee. Ten ostatni, ale istotny dla nas dział z początku prowadziła Agnieszka, obecnie w jego tworzeniu wspiera nas Karolina. Z kolei tematami ekonomiczno-technologicznymi od ponad roku zajmuje się Zuzanna, a wcześniej ów wówczas dziewiczy dla nas obszar inicjowała Martyna. Za bardzo ważny w „Piśmie” proces weryfikacji faktów odpowiada Marcin, który teksty dla miesięcznika redaguje od samego początku. A skoro już o redakcji i korekcie, nie można zapomnieć o Dorocie, Edycie, Ilonie, Monice, Urszuli, Karolinie i Zofii.

„Pismo” to również obraz i forma, której pierwotny kształt nadał Jacek, autor makiety. Jak to w filmiku promującym nasz start krótko podsumował Karol – pierwszy redaktor artystyczny – „żeby

było elegancko”. Bardzo trafnie, bo styl „Pisma” to prostota, przejrzystość, bezpretensjonalna elegancja i wysoki poziom artystyczny, o co od niemal trzech lat dba Karolina, którą od wakacji wspiera Marta, składająca wersję papierową miesięcznika.

Podkreślam słowo „papierową”, bo jak zapewne wiecie, od początku ukazujemy się w trzech formatach: papierowym, cyfrowym i audio. Za dwa ostatnie od zawsze odpowiada Basia, z którą toczą nieustanne spory. Ale to z naszych gorących dyskusji wyłaniają się tak trafione pomysły, jak „Śledztwo Pisma”. Basię wspierał Mateusz (ale o nim więcej za chwilę), a od tego lata czyni to Ewa.

„Pismo” nie działa dla zysku, ale nie utrzymałoby się, gdyby nie czytelnicy prenumerujący i kupujący w kioskach. By było Was więcej, konieczna jest promocja i marketing. Ewa dołączyła do nas w 2017 roku, by przez trzy miesiące pomagać w kampanii promującej start miesięcznika. I została. Podobnie jak Kalina, która zgłosiła się do nas przed pandemią, chcąc pomóc nam w zrozumieniu naszych czytelników, i tak jej się to spodobało, że do dzisiaj kieruje działaniami komercyjnymi naszej niekomercyjnej organizacji. Wygląda na to, że owa tymczasowość jest elementem nieuświadomionej strategii rekrutacji do tego działu, bo podobnie było z Mateuszem. Zgłosił się do nas cztery lata temu na staż studencki. I został, najpierw jako wydawca wersji cyfrowej i audio, a obecnie koordynator marketingu. Jedynie Marcin, który zajmuje się rozwojem prenumeraty, złamał tę zasadę – dołączył do nas latem zeszłego roku od razu z intencją pozostania na dłużej. Wyjątek potwierdzający regułę.

Jest jeszcze jedna prawidłowość w naszych wysiłkach rekrutacyjnych w tym zakresie, czyli zatrudnianie osób o imionach zaczynających się na „M”, bo obsługą prenumeratorów zajmuje się Maciej, rozliczeniami – Michał, a wcześniej te role łączyła Mari. Szczęśliwie jednak staramy się łamać schematy, bo bardzo ważny dla nas obszar współpracy z darczyńcami i partnerami od dwóch lat prowadzi Natalia, a wcześniej wspierały nas w tym Agnieszka oraz Ania.

Wyobrażam sobie, że ta wylizanka może wydawać się nużąca, więc na tym kończę, bo zespół, który przez pięć lat tworzył „Pismo”, jest niewielki. Ale bez niego zupy nigdy byśmy nie ugotowali i rok w rok nie doprawiali. Co – wierzę – docenicie, prenumerując, kupując i smakując „Pismo”.

MAGAZYN OPINII  
**Pismo.**

WYDANIE SPECJALNE I/2022

## PROZA

**Biała pavlova** | 2  
JOANNA RUDNIAŃSKA

## POEZJA

**258. Dehnel tłumaczy Dickinson** | 7  
JACEK DEHNEL, EMILY DICKINSON

[...] | 47  
LINDA VILHJÁLMSDÓTTIR

[...] | 67  
SERHIJ ŻADAN

## OBRAZ

KOMIKS **Działka** | 68  
BERENIKA KOŁOMYCKA

FOTOREPORTAŻ **Super Mario** | 40  
PIOTR TRACZ

ŻARTY RYSUNKOWE  
MICHAŁ RZECZNIK

OKŁADKA **Na osłotę**  
TYMEK JEZIEFSKI

## FELIETON

96 | **À propos „Pisma”**  
ZUZANNA KOWALCZYK

## REPORTAŻ

8 | **Więźniowie czwartego piętra**  
EWA WOŁKANOWSKA-KOŁODZIEJ o seniorach uwięzionych w swoich mieszkaniach

## ROZMOWA

16 | **To nie jest kwestia hematologii**  
z prof. KAROLEM MODZELEWSKIM rozmawia KALINA BŁAŻEJOWSKA

## PORTRET

28 | **Arundhati Roy. Podłuchać świat**  
KATARZYNA BONI odwiedza pisarkę kreślącą trudny obraz współczesnych Indii

## PODRÓŻ

48 | **Ziemia nieobiecana**  
JULIA LACHOWICZ przypomina maoryskie korzenie Nowej Zelandii

## HISTORIA OSOBISTA

58 | **Kolekcjonerka chorób**  
MAŁGORZATA NOWACZYK o cenie, jaką się płaci za pasję

## ESEJ KULTURA

76 | **Gang bang na mózgu**  
KAROLINA LEWESTAM ogląda ciemną stronę porno

## WOKÓŁ KSIĄŻEK

88 | **Wklejeni w widok**  
ZOFIA KRÓL doświadcza krajobrazu i przyrody podczas prozaicznego chodzenia

MAGAZYN OPINII  
**Pismo.**

Wydawca: Fundacja Pismo  
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,  
00-033 Warszawa  
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz  
Członkinie Zarządu:  
Magdalena Kicińska, Kalina Wyszyńska

Adres redakcji: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,  
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, Kultura i sekretarzowanie redakcji: Katarzyna Kazimierowska,  
Weryfikacja faktów: Marcin Czajkowski, Idee: Karolina Lewestam, Ekonomia i Technologie: Zuzanna Kowalczyk,  
Redakcja: Urszula Kifer, Zofia Sawicka, Ilona Turowska, Edyta Zielińska, Korekta: Monika Marczyk, Dorota Śrutowska,  
Szefowa Projektów Cyfrowych: Barbara Sowa, Wydanie Cyfrowe: Ewa Pluta  
Projekt makiety: Jacek Utko, Redaktorka Artystyczna: Karolina Mazurkiewicz, Skład i łamanie: Marta Juchnowicz-Bierbasz,  
Szefowa Marketingu i Sprzedaży: Kalina Wyszyńska, Marketing: Mateusz Roesler, Promocja: Ewa Salamon,  
Prenumerata i subskrypcja: Marcin Lipiec, Fundraising: Natalia Czarkowska, Reklama: reklama@magazynpismo.pl

Pismo. Magazyn opinii  
www.magazynpismo.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

# Biała pavlova

tekst JOANNA RUDNIAŃSKA

Opowiadanie ukazało się w numerze 9/2020

—  
Od razu wiedziałam, kim jest Obcy rozszarpujący od środka Johna Hurta, który grał drugiego oficera międzygwiazdowego statku Nostromo. 11 czerwca 1980 roku, siedząc w ciemnym kinie, znów poczułam go w bebeczach. Znałam go, mieszkał we mnie wiele lat. Pozaziemski, węzowaty stwór o martwych oczach i szponiastych pazurach. Nie wiem, czy H. R. Giger, który go zaprojektował, był kiedyś naprawdę głodny. Ale wiedział, czym jest głód. Artyści wiedzą różne rzeczy, nawet się tego nie domyślając.

Mój Obcy zamieszkał we mnie w tym samym roku, w którym John Hurt i H. R. Giger przyszli na świat. W 1940, w drugim roku okupacji.

—  
OBIADY. Jadałam je w poniedziałki. Wujostwo R. zapraszali mnie raz w tygodniu na obiad. Nie byli naprawdę moimi krewnymi, byli przyjaciółmi mamy. Mieszkali w wielkim mieszkaniu przy Polnej – kilka pokoi w amfiladzie, z wysokimi drzwiami. Otwierała mi służąca o imieniu Henryka i przez sznur pokoi prowadziła do jadalni. Patrzyła na mnie z pogardą, podejrzewała, że jestem Żydówką. Wchodziłam głównym wejściem, a ona musiała korzystać z kuchennego. Zdejmowałam płaszcz i rzucałam go jej bez słowa, jej płaszcz był w lepszym

gatunku, wiem, bo widziałam ją raz na ulicy w pelisie po ciotce. Już w przedpokojach witały mnie dwie jamniczki, wściekłe, niezbyt duże, czyhające na najmniejsze moje potknięcie. Wołano na nie Lala i Liska, ale ja nazywałam je w myślach Dżuma i Cholera. Pasowało to i do nich, i do zainteresowań wuja, który był bakteriologiem, profesorem medycyny. Wiedziałam, że podczas poprzedniej wojny zwalczył gdzieś epidemię cholery. Całowałam ciotkę w policzki, dygałam przed wujem i siadałam na swoim miejscu, naprzeciwko ciotki, przy długim stole, nakrytym sztywnym od krochmalu, białym obrusem. Jedliśmy tylko we trójkę. Rozmawiałam z ciotką, odpowiadając na jej pytania, opowiadając o pokoju, który wynajmuję na mieście, nie wspominając, że jest to śmierdząca komórka na Pradze, tuż obok wspólnej ubikacji, zdając sprawę z moich postępów w nauce i dając się egzaminować we francuskim, jednocześnie czekając na pierwsze danie. Wreszcie Henryka przynosiła kieliszek wódki, który stawiała przed wujem, a potem, już dla wszystkich, zakąskę, maleńki kawałek czegoś. Czasem nawet nie wiedziałam czego, tak to było małe. Pasztet? Ryba? Tarta z czymkolwiek. Malusieńka babeczka z szarym, słonym nadzieniem. Kokilka z zapieczonym budyniem o mięsny smaku. Patrzyłam na ciotkę i z zestawu sztuców leżących przy moim talerzu wybierałam taki

egzemplarz. Powoli podnosiłam do ust mały widelczyk lub łyżeczkę. To była tortura. Zapach mnie obezwładniał, czasem wydawało mi się, że zaraz zemdleję. Żułam powoli i uśmiechałam się. Dżuma i Cholera patrzyły na mnie z głodną uwagą, gotowe wskoczyć na stół i zeżreć wszystko, gdyby biesiadnicy oddalili się choćby na moment. Czuliśmy to samo, wiedziały o tym.

Następnie była zupa w małych filiżankach z dwoma uszkami, najczęściej zupa krem z fasolką masła roztopionego na powierzchni i kilkoma listkami zielonej pietruszki. Jadałam łyżką dwa razy mniejszą niż normalna łyżka do zupy i powstrzymywałam się, aby nie podnieść filiżanki do ust i nie wychylić jej zawartości jednym łykiem. Potem drugie danie i kompot. Na szczęście kompot Henryka podawała w dzbanku i mogłam sobie dolewać, ile chciałam, słodki kompot, który wypełniał mi żołądek, bo odrobina kartofli, mięsa i surówki nie mogła tego zrobić. Nawet wuj raz zwrócił na mnie uwagę i polecił mi zbadać sobie poziom cukru, skoro tyle piję. – Bo ten kompot jest taki smaczny – powiedziałam. Ach, jeszcze symboliczny deser i herbata w filiżankach większych niż te do zupy. Po obiedzie ciotka siadała do fortepianu i grała Szopena. Wuj przeglądał jakieś papiery i robił notatki, a ja zamykałam oczy i chłonełam zapachy, które pozostały po obiedzie. Najpiękniejszy był





zapach palonego masła. Ale zidentyfikowałam go dopiero po wielu latach.

IMIENINY CIOTKI były 26 lipca. W roku 1943 tego dnia był poniedziałek, więc przyszedłam na obiad. Przyniosłam jej francuskie wydanie utworów Tansmana, które wygrzebałam na bazarze spod sterty gazet u jakiegoś bukinisty i, gdy się odwocił, schowałam pod płaszcz. Były naprawdę zniszczone, więc nie miałam wyrzutów sumienia. Nieśmiało wręczyłam ciotce wygniecione i naddarte nuty, a ona się rozpromieniła.

– O, Tansman...

– Ten żydowski pianista – burknął wuj.

– Może byś wieczorem... – zaczęła ciotka, ale wuj wszedł jej w słowo.

– Wieczorem zaprosiliśmy przyjaciół na przyjęcie imieninowe – zaznaczył, kończąc temat. Ciotka jednak ciągnęła niezrażona:

– Zamówiłam białą pavlovą u Zagoździńskiego. Henryka przywiozła. Próbowalaś kiedyś pavlowej?

– Na pewno nie próbowała – odpowiedział za mnie wuj. – I nie jest to konieczne. Jabłka są zdrowsze.

WUJ MIAŁ RACJĘ, nie jadłam nigdy białej pavlowej, nie wiedziałam, że to beza z owocami i bitą śmietaną, prosty, a jednak wyszukany deser, leciutki i uroczy, wystarczy na bezową spódniczkę baleriny rzucić garść drobnych owoców i przełożyć je bitą śmietaną. Owoce granatu, maliny, jeżyny, poziomki, czarne jagody – to, co jest dostępne. Owoce jagodowe najlepiej świeże, zebrane tego samego dnia. I nie jest to trywialna, chrupka beza, w środku ma ciągnącą się, półstałą masę, która mieszcami powinna być troszkę scukrzona.

Doskonale pamiętam tamten obiad, każde z dań. Babeczka z mózdzkiem, ulubione danie wuja. Francuska zupa cebulowa na maśle z mikroskopijną grzanką z zapieczonym, ciągnącym się serem. Sztukamięs w sosie chrzanowym, tłuczone ziemniaki i surówka z marchewki z sokiem cytrynowym i cukrem. Porcje jak na przyjęcie dla lalek. Deseru tego dnia nie było, bo Henryka musiała jeszcze wyjść po jakieś zakupy. Poszliśmy z ciotką do kuchni zrobić herbatę.



Na stoliku pod oknem stała patera na wysokiej nóżce, kryształowy kwiat z rozłożonymi płasko płatkami. Na przejrzystych płatkach rozsiała się śnieżnobiała beza w śmietanowych falbankach, w koralach z błyszczących poziomek. Promienie południowego słońca przeświecały przez firankę i rozszczerzone przez kryształ spadały na stół okruciami tęczy.

– To biała pavlova – powiedziała ciotka uroczyście, jakby przedstawiała mi kogoś ważnego. – Piękna, prawda? To ciasto wymyślił jakiś australijski cukiernik na cześć Anny Pawłowej. Musiał zobaczyć, jak tańczy *Umierającego łabędzia* do muzyki Camille'a Saint-Saënsa. Widziałam ten jej taniec w kinie, w „Tygodniku Filmowym”, ale to nie to samo, co naprawdę. Dziś są też jej imieniny, więc jak zawsze zamówiłam białą pavlovą.

– Piękna – powiedziałam i na krótką chwilę mój głód zniknął, robiąc miejsce uczuciom innego rzędu. Bo jak zjeść coś tak pięknego?

– Zamiast poziomek powinny być owoce granatu. Gdy się je umiejętnie ułoży, wyglądają jak kolia z prawdziwych granatów. Granaty! Już wszyscy zapomnieli, że są takie owoce i takie kamienie. Zostały tylko granaty przydatne na wojnie – powiedziała ciotka i zaśmiała się.

GDY WRÓCIŁYŚMY do jadalni, wciąż myślałam o białej pavlowej. Zatęskniłam do niej, jakbym się zakochała. Nie było Henryki, więc czułam się swobodnie. Dałam do zrozumienia, że muszę iść do ubikacji. Ubikacja była w korytarzu prowadzącym do wyjścia, ale ja skręciłam do kuchni. Stałam i patrzyłam, aż nagle zorientowałam się, że nie jestem

sama. Po obu moich stronach, jak adiutantki, stały Dżuma i Cholera, gotowe do skoku, spięte, wygłodniałe wilczyce.

To przez nie rzuciłam się na białą pavlovą, jakby mój głód zmultiplikował się. Wzięłam leżącą obok srebrną łopatkę do tortu z rączką w kształcie węża i zabrałam się do jedzenia. Zaczęłam od góry. Najpierw pożarłam poziomki z bitą śmietaną. Nie próbowałam poziomek od trzech lat, zapomniałam, jak pachną, zapomniałam, że w ogóle istnieją. Potem zaczęłam wyjadać wnętrza bezy, ciągnącą się słodycz, i stałam się tą słodyczą. Było cicho i słonecznie. Czułam się wspaniale. Jakby w mojej głowie otworzyły się jakieś inne przestrzenie...

Nagle usłyszałam kroki i szcęk zamka od drzwi kuchennych, obrót klucza. To wracała Henryka. Wzięłam resztkę pavlowej w dłonie, rzuciłam sukrom na podłogę i popędziłam do wyjścia. Złapałam płaszcz, otworzyłam drzwi i uciekłam. Wyjście kuchenne było od drugiej strony, wychodziło się inną klatką schodową na małe podwórko. Ja wybiegłam głównym wyjściem wprost na Polną. Idąc ulicą, poczułam nagły skurcz żołądka. Złapałam się ogrodzenia i zaczęłam wymiotować. Biała pavlova smakowała mi tak samo jak wtedy, gdy ją jadłam. A może nawet lepiej, bo nie musiałam się spieszyć.

Kilka dni później Niemcy aresztowali mnie i wyładowałam w obozie. W Neubrandenburgu byłam jeszcze bardziej głodna. Czasem myślałam o białej pavlowej. Gdy przypominałam sobie, jak stoję na Polnej i rzygam, chciało mi się śmiać. Opowiadałam to dziewczynom i śmiałyśmy się razem. I wciąż pamiętałam jej słodycz, jej smak.

PO WOJNIE wszystko się zmieniło. Byłam dorosła, choć do pełnoletności brakowało mi jeszcze kilku miesięcy. Znow, jak przed wojną, zamieszkałam w naszym starym mieszkaniu przy Narbutta, w moim dawnym pokoju. Ale teraz w tym pokoju mieszkała ze mną matka, a pozostałe trzy zajmowali obcy ludzie. Gdy wchodziłam rano do naszej kuchni, mówiłam „dzień dobry” sąsiadce w szlafroku, a czasem listonoszowi, który siedział przy stole i siorbał herbatę. Słońce zalewało wyszorowane deski podłogi, a ja czekałam uprzejmie, aż będę mogła

zgotować sobie wodę na kawę. Na środku mojego pokoju stała szafa, dzieląc go na pół. Zасыpiając w moim łóżku, które było już trochę dla mnie za krótkie, widziałam plecy szafy, które matka okleiła starymi plakatami reklamowymi. „Bonbony miętowe” – ten plakat lubiłam najbardziej. Nie wróciłam do szkoły. Zaczęłam pracować w cukierni Meringue na Pradze, utknęłam tam na długie lata.

Pewnego dnia przypominałam sobie o białej pavlovej. Ale kierownik Meringue nie znał tego deseru. Nikt go nie znał. Pojechałam do Zągorzdziańskiego na Wolę, cukiernia wciąż działała, ale sprzedawano tam tylko pączki, ciastka i zwykle, drożdżowe ciasta. Kupiłam sobie pączka i wyszłam. Gdy wieczorem zostałam sama w cukierni, aby przygotować spody pod ciastka i posprzątać, zrobiłam bezę i zostawiłam w stygnącym piecu. Beza była dobra, ale to nie była biała pavlova. Zbyt krucha i nie dość biała, to nie mogła być ona. Raz na jakiś czas kupowałam jajka od bab pod bazarem i próbowałam dalej. Kierownik patrzył na te moje próby przez palce. Aż wreszcie, 10 lipca 1950 roku, wiedziałam, że beza jest właśnie taka, jaka powinna być. Wyglądała jak zatrzymana w połowie tanecznego pas spieniona falbanami spódniczka baletnicy. Nie musiałam jej próbować. Czułam, że w środku jest idealna. Pobiegłam na bazar, pamiętam dokładnie ten poranek. Była szósta rano, czuć już było upał. Kupiłam kwaterek słodkiej śmietanki. Jakiś chłopiec sprzedawał poziomki, wzięłam cały słoik. Gdy kierownik przyszedł do pracy, pokazałam mu białą pavlovą. Próbowali wszyscy, daliśmy nawet sąsiadom, ale ja byłam zbyt zdenerwowana, aby jeść. Biała pavlova weszła do asortymentu ciast sprzedawanych w Meringue. Musiałam zapisać przepis, kierownik ustalił cenę. To był najdroższy deser, ale zniknął momentalnie. Od czerwca do września robiłam go ze świeżymi owocami, zimą ozdabiałam konfiturami. Moja biała pavlova zaczęła być znana, w niedzielę z całej Warszawy przyjeżdżano do nas na świąteczny deser.

TERAZ MÓJ BLOG nazywa się Pavlova. W nagłówku ma zdjęcie Anny Pawłowej w kostiumie łabędzia. Niektórym się wydaje, że to ja nazywam się Anna Pawłowa, piszą

do mnie „Pani Anno, czy mogę do tych ciasteczek użyć razowej mąki?”. Albo „Aniu, ten tort wygląda wspaniale i przesmacznie, muszę go kiedyś zrobić!”. Przeczytałam nawet na jakimś portalu, że byłam znaną baletnicą, ale po wypadku nie mogę tańczyć i zajęłam się cukiernictwem. Lubię takie wiadomości, sprawiają, że staję się bardziej interesująca. Bo co ciekawego jest w kobiecie, która ponad pół wieku przepracowała w cukierni, a teraz prowadzi bloga o słodkich wypiekach?

Mieszkam wciąż w naszym przedwojennym mieszkaniu, teraz już sama. Sypiam w moim starym pokoju, w łóżku zrobionym na miarę, gdy miałam dwanaście lat. Już nie jest za krótkie, choć jeszcze dotykam stopami krawędzi. Szafa ciągle stoi na środku pokoju, budzę się i patrzę na plakat reklamujący „Amerykańskie bonbony miętowe, na sposób Huylera w Nowym Jorku, Wiktora Schmida i Synów w Wiedniu 4/2”. Wygląda jak nowy, bo został odrestaurowany i oprawiony. Czasem, zanim wstanę, zastanawiam się, co znaczą te liczby, 4/2.

Pozostałe pokoje są puste i przestronne, z lśniącym parkietem, w którym odbija się światło. W jednym mam atelier fotograficzne, w drugim, na biurku mojego ojca, stoi komputer. Mam nowoczesną, profesjonalną kuchnię, z niklowanymi urządzeniami, lepszą niż tamta w Meringue. Piękę, robię

desery, fotografuję, piszę. Wieczorem idę na spacer. Patrzę na smartwatch, który mam na rękę przez cały dzień, i uzupełniam liczbę kroków dzielących mnie od magicznych dziesięciu tysięcy, krążąc po uliczkach wokół kina Iluzjon. Nawet zaraza nie zmieniła nic w moim życiu. Tyle tylko, że na ulicach jest dużo ciszej i zupełnie pusto, za to na bloga mam kilka razy więcej wejść niż zazwyczaj.

Dwa dni temu na skwerze obok kina podeszło do mnie dwoje dzieciaków w policyjnych mundurach, jasnowłosa, pyzata dziewczyna i drobny chłopak o małomiansteczkowej buzi.

– Wie pani, że jest epidemia, prawda? Nie powinna pani wychodzić z domu – zwróciła się do mnie dziewczyna.

– Wyprowadzam psy. Gdzieś pobiegły, ale zaraz wrócą. To dwie jamniczki, nazywają się Dżuma i Cholera. O, są tam – wykonałam nieokreślony ruch ręką, a policjanci popatrzeli po sobie i odeszli.

Przypomniał mi się wtedy wuj R. i pomyślałam o epidemii cholery, z którą walczył podczas pierwszej wojny. Nigdy go o to nie zapytałam.

DZIESIĄTKI, setki razy robiłam białą pavlovą. Ale przez dwadzieścia lat ani razu jej nie spróbowałam. Aż do 26 lipca 1971 roku.

## Czy wiesz, że możesz nas też **słuchać**?

**Kup dostęp online, a otrzymasz:**

- dostęp do wszystkich treści w serwisie,
- wszystkie wydania audio miesięcznika,
- pełne cyfrowe archiwum tekstów i nagrań,
- możliwość słuchania wszystkich naszych podcastów,
- dostęp do wszystkich produkcji audio z cyklu Śledztwo Pisma.

● [magazynpismo.pl/posluchaj](http://magazynpismo.pl/posluchaj)





DLACZEGO nie chcesz odwiedzić wujostwa? Mogłabyś im zanieść to swoje bezowe ciasto. Na pewno by im smakowało – mówiła co roku matka, gdy nadchodziły imieniny ciotki. – Pomagali ci w czasie wojny, chodzili do nich na obiady – przypominała.

Gdy to nie skutkowało, chwytła za broń grubszego kalibru:

– Wiedzieli, że twój ojciec był Żydem. Narażali się, przyjmując cię w swoim domu.

– Ty wolałaś się nie narażać – mówiłam, co ucinało dyskusję.

NA POGRZEBIE WUJA nie podeszłam do ciotki. Myślałam, że trumna będzie dłuższa, wuj był bardzo wysoki. Ciotka była mała i stara. Nie widziałam jej wyraźnie, bo miała kapełusz z woalką.

– A gdzie są jamniczki? – zapytałam faceta, który stał obok mnie. Miał wielkie okulary i siwą czuprynę.

Facet zaśmiał się.

– Lala i Liska? Miałyby dziś po dwadzieścia pięć lat – powiedział.

MUSIAŁO MINĄĆ jeszcze kilka lat, zanim odwiedziłam ciotkę. Zrobiłam to, bo znów były jej imieniny, a moja matka już nie żyła. Ze zmarłymi trudniej dyskutować niż z żywymi. Jej nowy adres znalazłam w notesie matki. Przeszłam się tamtą ulicą któregoś lipcowego wieczora, aby wy badać teren. Ciotka mieszkała na Żoliborzu, na parterze trzypiętrowego spółdzielczego bloku. Zobaczyłam ją przez okno, siedziała przy fortepianie pod wielkim, kryształowym żyrandolem, świecącym z daleka jak transatlantyk. To był żyrandol z salonu wujostwa. Grała. Było ciepło i miała otwarte okna. W ogródku pod jej balkonem rosły krzewy róż z dużymi, białymi kwiatami. Róże pachniały. Muzyka słała się po ulicy. To na pewno nie był Szopen.

IMIENINY CIOTKI wypadły w poniedziałek, tak samo jak wtedy, podczas wojny. Szłam ulicą Krasińskiego, niosąc duże, kartonowe pudełko z Meringue. Na różanych krzewach pod oknem ciotki nie było już ani jednej róży, zostało tylko kilka pąków. Zadzwoiłam do jej drzwi dokładnie o siedemnastej,



w porze przedwojennego podwieczorku. Nie wydawała się specjalnie zdziwiona moją wizytą. Miała na sobie niebieską, wełnianą suknię i granatowe, znoszone pantofle. Pamiętałam tę suknię, kiedyś często zasiadała w niej do obiadu. Była starą, niziutką panią ze starannie ułożonymi siwymi włosami, ale w gruncie rzeczy się nie zmieniła. Podeszliśmy do okna i pokazała mi ogołocony z kwiatów różany ogródek.

– Co roku w nocy przed moimi imieninami ktoś kradnie moje róże. Może jego żona lub matka też ma na imię Anna – powiedziała.

Meble, stłoczone w niedużym pokoju, pochodziły z mieszkania wujostwa na Polnej. Nad kanapą wisiał obraz z aniołami o tęczyowych skrzydłach, zawsze mi się podobał, pamiętałam nawet nazwisko malarza, Antoni Gawiński. Na stole leżała sterta gazet i książek, porcelanowy półmisek wypełniony pudełeczkami lekarstw, cukierniczka, jakieś bibeloty. Fortepian wydawał się ogromny i nie na miejscu, jak czarny, wielki samochód, który niespodziewanie wjechał do salonu.

– Zjemy coś – powiedziała ciotka.

Odruchowo spojrzałam na drzwi, spodziewając się Henryki z tacą.

Ale Henryki nie było. Poszliśmy do kuchni, małej i zabałaganionej.

Z kamiennego garnka ciotka wyjęła kostkę masła i chyba półkilowy kawałek żółtego sera. Na kuchennym blacie stała butelka wina Gellala, otworzyłam ją i razem z bułką paryską zaniósłam do pokoju. Ciotka zrobiła trochę miejsca na stole, z serwantki wyjęła kieliszki, talerze, srebrne sztucce. Piłyśmy

wino i rozmawialiśmy. Pod koniec butelki opowiedziałam jej o mojej pracy w cukierni. Nie zapytała, dlaczego nie poszłam na architekturę, jak kiedyś planowałam. Otworzyła kartonowe pudełko, które przyniosłam, i aż krzyknęła:

– Biała pavlova! Jaka wielka! Przepiękna! Poziomki, już są poziomki?

– Są. Już od miesiąca.

– A pamiętasz tamtą pavlovą, którą zjadły psy? Do tej pory się zastanawiam, jak te jamnice dostały się na stół. Pamiętasz?

– Pamiętam, ciotciu – powiedziałam.

– Wyjmij z serwantki kryształową patelnię, proszę. To prawdziwy cud, że psy jej nie zbiły.

To wtedy drugi raz w życiu jadłam białą pavlovą. Nie zawiodłam się. Naprawdę byłam mistrzynią.

Potem ciotka usiadła do fortepianu.

– Zagram ci *Karnawał zwierząt* Saint-Saënsa. Najbardziej lubię *Łabędzia* – powiedziała.

OSTRE DŹWIĘKI siekały na kawałki długie, równoległe smugi słońca padające na wypastowaną podłogę, powietrze było słodkie i gęste. Ciotka grała zatopiona w sobie, od czasu do czasu unosiła głowę i rzucała mi rozbażwione spojrzenie. Przysięgłabym, że chwilami znów była młoda. Fortepian stał się biały jak śnieg, lśnił jak lodowiec, ale wcale mnie to nie dziwiło. Srebrną łopatką z rączką w kształcie węża nakładałam sobie raz za razem trójkątne kawałki pavlowej. Poziomki, bita śmietana, beza, poziomki, beza... Poziomki pachniały upalnym latem, a ja byłam szczęśliwa. Wreszcie nie czułam głodu.

Biała pavlova została wybrana w głosowaniu na najlepsze opowiadanie, przeprowadzonym wśród naszych czytelniczek i czytelników.



Tego i innych opowiadań postuchasz w wersji audio na [magazynpismo.pl/proza](https://magazynpismo.pl/proza)

Wiersze z numeru pokazują, jak bardzo różnorodną poezję wybieramy dla Was od pięciu lat. Dickinson w tłumaczeniu Dehnela to przykład klasyki, która nigdy się nie starzeje.

POEZJA

## 258. Dehnel tłumaczy Dickinson

JACEK DEHNEL, EMILY DICKINSON

—

There's a certain Slant of light,  
 Winter Afternoons –  
 That oppresses, like the Heft  
 Of Cathedral Tunes –  
 Heavenly Hurt, it gives us –  
 We can find no scar,  
 But internal difference,  
 Where the Meanings, are –  
 None may teach it – Any –  
 'Tis the Seal Despair –  
 An imperial affliction  
 Sent us of the Air –  
 When it comes, the Landscape listens –  
 Shadows – hold their breath –  
 When it goes, 'tis like the Distance  
 On the look of Death –

Bywa taki światła Skłon  
 W Popołudnia zimy –  
 Co osacza, niczym Dzwon  
 Bijący z Katedry –  
 Rajskie Rany zada nam –  
 Nie znać skaleczenia  
 Tylko zmianę wewnątrz, tam,  
 Gdzie siedzą Znaczenia –  
 Nie wyjaśni tego nikt –  
 To Pieczęć Żałości –  
 Ból zsyłany z nieba wszem  
 Z pańskich Wysokości –  
 Gdy nadchodzi, milknie Kraj –  
 Dech wstrzymują cienie –  
 Gdy odchodzi, jest jak Dal,  
 W Śmiertelnym spojrzeniu.

*przełożył Jacek Dehnel*

*Wiersz ukazał się w numerze 3/2019*

EMILY  
DICKINSON

(1830–1886), poetka amerykańska. Za jej życia ukazało się jedynie siedem jej wierszy. W Polsce tłumaczona m.in. przez: Kazimierę Iłakowiczówną, Stanisława Barańczaka, Ryszarda Mierzejewskiego i Krystynę Lenkowską.

JACEK  
DEHNEL

(ur. 1980), poeta, prozaik, tłumacz, malarz. Wydał dziewięć książek poetyckich, osiem translatorskich, czternaście prozatorskich, jest współautorem kryminałów (z Piotrem Tarczyńskim, jako Maryla Szymiczkowa). Laureat m.in. Nagrody Kościelskich (2005) i Paszportu „Polityki” (2006), pięciokrotnie nominowany do nagrody Nike. Mieszka w Berlinie z mężem, Piotrem Tarczyńskim.





REPORTAŻ

# Więźniowie czwartego piętra

tekst EWA WOŁKANOWSKA-KOŁODZIEJ

Reportaż ukazał się w numerze 1/2018

---

NIE WYJDĄ NA ULICE, bo od lat  
nie wychodzą z domu w ogóle.





Większość kubków w kuchni nie ma ucha. Często zapomina, że coś trzyma w ręce i wtedy kubek spada. Kiedy chce wypić herbatę w pokoju, najpierw bierze pusty i stawia go na stole. Potem wraca do kuchni, wlewa wrzątek do termosu, termos wieszka na balkoniku i idzie do pokoju. Sił zostaje tylko tyle, by ująć i włączyć *Na dobre i na złe*.

– Widzę, co się dzieje. Ostatnio upuściłam czajnik. Woda była już zimna, a gdyby był wrzątek, tobym się poparzyła. No i nie mam już czajnika. Czasem tak się czuję przytłoczona tym wszystkim, że biorę książkę, przeczytam trzy linijki i oczy mi się zamykają.

Obok leżą *Wyznania* św. Augustyna i tygodniki „Niedziela”.

Danuta ma 75 lat, szczupłe dłonie, przezroczyste paznokcie i białe włosy upięte w kok jak u baletnicy. Jest tak drobna, że gdy siedzi za stołem, ten wydaje się ogromny. Wszystko wokół wydaje się większe, jedynie obrazek na ścianie przedstawiający ostatnią wieczerzę jest mikroskopijny, aż trudno dopatrzeć się na nim Jezusa wciśniętego pomiędzy apostołów.

Na tle białych ścian jej mieszkania każdy kolor sprawia wrażenie mocniejszego. Liliowy sweter Danuty niemal razi. Farba odpadająca z metalowego balkonika za jej plecami jest intensywnie niebieska. Kolor zielono-czerwonej sukienki anioła przyciąga uwagę. Figurkę dostali sąsiedzi od ciotki z Ameryki, ale im się nie spodobała, więc oddali Danucie. Przyjęła ją tak samo jak starość.

– Nie można robić z siebie cierpiętka. Stany roszczeniowe do świata nic nie dają – mówi.

Kiedy ostatni raz samodzielnie wyszła z domu? Pięć lat temu? Już wtedy nie wiedziała, co trzeszczało bardziej: schody, po których zsuwała się z czwartego piętra, czy jej kości. Nic dziwnego, są prawie równoładkami.

Dozorca na parterze przechowywał jej wózek. Z siodełkiem. Ważył trzydzieści siedem kilo. Chwytała go obiema rękami i pchała do najbliższego sklepu. Czasem ktoś zapytał, czy pomóc. Ale jak na takie pytanie odpowiedzieć pędzącemu człowiekowi? A z perspektywy wózka z siodełkiem każdy jest taki. Robiła zakupy i szła z powrotem. To jakby zdrowy człowiek miał wejść

z mlekiem i bułkami na Kasprowy Wierch. Zresztą na ścianie w mieszkaniu Danuty wisi wyblakły plakat z ośnieżonymi szczypkami i skandynawskimi fiordami, a obok zdjęcie babci w stroju huculskim z wakacji w Karpatach. Lubiła góry.

Danuta już nie wychodzi. O takich jak ona mówi się: więźniowie czwartego piętra. Utknęli w mieszkaniach w blokach i domach bez wind. Nie upominają się o swoje prawa, bo nie wierzą, że jakiegokolwiek mają. Najwięcej mogą powiedzieć o nich pracownicy opieki społecznej, bo to do nich dzwonią i mówią na przykład tak:

– Nie dam rady już wyjść do sklepu. Ja jestem za wysoko, a on za nisko.

Danuta po pomoc zgłosiła się sama. Powiedziała, że ma osteoporozę, przeszła raka macicy, zdiagnozowano u niej zanik mięśni i jest świadoma tego, że będzie coraz gorzej. Po telefonie przysłała do niej pracownica socjalna. Cel wizyty był prosty: ustalić plan opieki, żeby starsza kobieta jak najdłużej mogła mieszkać we własnym mieszkaniu. Umówiły się, że trzy razy w tygodniu będą odwiedzać Danutę opiekunki, które w jej imieniu odbiorą korespondencję z poczty, zrobią zakupy, odkurzą, nastawią pranie, a jak będzie trzeba, to umyją głowę, nakarmią i przewiną. Jednym z pierwszych zadań opiekunki Danuty była wizyta w przychodni i przyniesienie zaświadczenia o stanie jej zdrowia.

Recepcjonistka: – Ta pani sama musi przyjść.

Opiekunka: – Ona nie wychodzi z domu.

Recepcjonistka: – To ktoś z rodziny.

Opiekunka: – Ona nie ma rodziny.

Recepcjonistka (oburzona): – Co to znaczy, że ona nie ma rodziny?!

– Czy to aż takie dziwne? – Danuta jednocześnie broni swojego prawa do samotności i usprawiedliwia się. – Nie wyszłam za mąż, nie mam dzieci, dalsza rodzina jest rozsiadana gdzieś po Polsce. Nie jestem jedyna taka na świecie.

Urodziła się dwa lata przed wybuchem powstania warszawskiego. Jej kamienica nie ocalała. Do lat 70. mieszkała z rodzicami i babcią na obrzeżach Warszawy. Nie mieli ani łazienki, ani gazu. Jedynym luksusem była zimna woda. Kiedy zmarł ojciec, a babcia potrzebowała coraz większej



opieki, wprowadziły się we trzy do kamienicy, mieszka w niej do dziś.

Pracowała w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego, potem w Zakładach Maszyn Elektrycznych „Wamel”, Urzędzie Skarbowym i w Powszechnej Kasie Oszczędności. Ma doświadczenie w traceniu: najpierw mamy i babci, później pracy. W końcu zaczęła tracić czucie w nogach. Kłopoty z chodzeniem zaczęły się w 2000 roku. Zwyródnienie. Czekala na operację stawów biodrowych, ale ostatecznie ortopeda odmówił, twierdząc, że niepotrzebna. Teraz można już tylko uśmierzać ból.

Jest chora i sama. Na spacer może pójść na balkon, bo nie ma nikogo, komu zależałoby, by znieść ją z czwartego piętra i zawieźć do parku. Na miejsce w sanatorium czekała dwa lata, a gdy je dostała, nie była w stanie sama dojechać do ośrodka, więc zrezygnowała. Balkonik niedawno zaciął się w kuchni, pchnęła go raz, drugi, kółko puściło, balkonik pojechał, ona upadła. Przeczłogała się do pokoju, podpełzła do telefonu, ale nie miała do kogo zadzwonić, więc sama dwie godziny wspinała się na tapczan.

Miesiąc temu zdecydowała się na wyprawkę ze swojego więzienia. Próbuje ją teraz w myślach oswoić. Myśli o niej tak, jakby to był wyjazd na wczasy. Gdy się jedzie na miesiąc, trzeba wiele rzeczy spakować, ale jeszcze więcej zostawić. Tym razem jedzie trochę inaczej. Będzie mogła zabrać komódkę z ciemnego drewna i swój stary fotel. Żyrandol komuś odda, bo ona z tych wczasów już nie wróci. Złożyła podanie o przeniesienie do domu pomocy społecznej.

– Każdy organizm się starzeje. Trzeba się z tym pogodzić, skoro nie ma innego wyjścia. Jestem głęboko wierząca i wiem, że nie tylko przyjemność jest dla człowieka. Wszystko jest dla człowieka.

Drewniane schody i seledynowe poręcze. Na trzecim piętrze wiszą obrazki kotków i krokusów. Na drugim zaś wlepka z napisem „Czekamy na wolność”. Nie wiadomo, czy zauważy ją, kiedy będzie wychodzić z domu po raz ostatni.

—  
WARSZAWA STARZEJE SIĘ, co dziesiąty mieszkaniec ma co najmniej siedemdziesiąt lat. Pomoć może znaleźć w jednym z osiemnastu

Ośrodków Pomocy Społecznej. Gdy nie jest już w stanie mieszkać samodzielnie, może starać się o miejsce w czternastu domach pomocy społecznej (w tym siedmiu dla osób przewlekle chorych).

Warszawskie Biuro Pomocy i Projektów Społecznych pod koniec sierpnia 2017 roku zakończyło rekrutację do dwuletniego projektu „Z@opiekowani”. Seniorzy, którzy do tej pory nie korzystali z usług opiekuńczych, w ramach niego zaczęli. Zostali też objęci teleopieką. Każdy uczestnik dostał urządzenie, które sprawdza temperaturę jego ciała, mierzy rytm serca i wszczyna alarm w centrali, gdy dzieje się coś złego. Senior w każdej chwili może wcisnąć przycisk alarmowy i wezwać pomoc. Będzie to kosztowało 977 tysięcy złotych.

W Poznaniu z teleopieki korzysta już ponad 250 osób, docelowo ma być objętych nią 550 samotnych schorowanych osób. Program „Z@opiekowani” przeznaczony jest dla czterdziestu mieszkańców stolicy. Tych, którzy przekroczyli siedemdziesiątkę, jest ponad dwieście trzydzieści tysięcy.



—  
IRENA W OŚRODKU POMOCY społecznej pracuje dwadzieścia jeden lat. Poprosiła o anonimowość.

Zanim zacznie opowiadać, prowadzi mnie do Alicji, seniorki, która od pięćdziesięciu dziewięciu lat mieszka na drugim piętrze bloku. W 2018 roku, razem z niepodległą Polską, Alicja obchodziła setne urodziny.

Ma w uszach srebrne kolczyki, na palcu pierścionek ze szlachetnym kamieniem, na szyi jedwabną apaszkę w kolorach letniej łąki. Siedzi przy stole niczym dostojna cesarzowa.

– No i co, że nie wychodzę? Tysiące ludzi nie wychodzi. Moje sąsiadki już nie żyją, ale też nie wychodziły, choć młodsze były. Od kiedy? Nie pamiętam. Sześć lat temu opiekunka chciała mnie sprowadzić po schodach, ale nie dała rady i wciągnęła z powrotem. I tak zostałam. Miałam w międzyczasie dwa udary, jeden ślabutki, a drugi porządny. Sanitariusze zawieźli mnie do szpitala. Mogłam tam dłużej zostać, ale powiem szczerze: wolałam jak najszybciej wrócić do siebie. Co robię w ciągu dnia? Wstaję o czwartej trzydzieści. Myję się, ścielę łóżko, modlę, rozwiązuję krzyżówkę, czytam „Przegląd”, „Angorę” i „Newsweeka”. Przychodzi pani Basia, opiekunka. Poza tym wyglądam oknem. O, tu mam kort tenisowy i park. Jak zakwitną lipy i jaśminy, to czuć. Dawniej były w nim zające i cietrzewie, ale już nie ma. Czasami wstaję i wychodzę aż na klatkę schodową, żeby innym oknem wyjrzeć. Ptaszki do mnie przylatują. Sikoreczki, nieraz dzięcioły. Wyrzucam im słoninkę. Synowa wpadnie, syn zadzwoni.

– To jest jednak dobra sytuacja, pani ma rodzinę – szepcze mi na ucho Irena.

Na komodzie zdjęcia: osobno w ramce kilka matki, osobno kilka ojca z wąsem. Syn, synowa. Pośrodku jedyne kolorowe: ze ślubu wnuka.

– Mój wnuczek to już dorosły mężczyzna. Nie byłam nawet na jego ślubie, a na dniach urodzi mu się córka. Ma kredyt na dom pod Warszawą, więc rzadko przyjeżdża. Oczywiście, że chętnie bym zobaczyła, jak się urządzili. Ich dom widziałam tylko na zdjęciach. Przecież nie będę prosić, żeby mnie znosili. Tak, mają samochód, nawet dwa. To młodzi ludzie, im nawet do głowy nie przyjdzie, że ja bym chciała wyjść. Pani Basia stale mnie buntuje: „Powinna pani żądać i wymagać. Wnuczek to wielki chłop, może na rękach panią znieść”. Proszę pani, gdzie bym ja mogła powiedzieć, że muszę wyjść?! Jakżeby to wyglądało, żeby ja się wpraszała! – unosi się. – Oczywiście, że wszystkie święta spędzam z rodziną. Wigilię mamy 23 grudnia, a Wielkanoc robimy w Wielką Sobotę. Jak to daczego?! Przecież oni następnego dnia muszą u siebie!

Irena wzdycha. – Mogłabym mieszkać w pokoiku u syna, ale to krępujące. Przez jakiś czas miałam okropną biegunkę. Prałam

po sobie i szorowałam. Wolę być u siebie, bo u nich mimo wszystko jestem obca. Oby tylko spokojnie umrzeć, nikomu nie zawadzać... Bo to jest okropne, jak człowieka nie chcą, a człowiek jeszcze żyje. I jest świadomy. A przecież nigdy nie wiadomo, czy człowieka nie rozłoży i nie będzie leżał. Tego najbardziej się obawiam. Mam zakrzepicę. W każdej chwili mogę, no...

Wychodzimy.

– Zauważyła pani, że nie buntuje się na swój los? – pyta Irena jeszcze na klatce schodowej. – To typowe. Starsze osoby mają zakodowane, że taka jest kolej rzeczy. Zresztą komu one ten bunt przekażą? Co im da? Mieszkanie ma zapisane na wnuka, on powinien o nią zadbać. Znosić. Albo zamienić mieszkanie i przenieść na parter, by mogła wyjść. Ona tylko o nim myśli, nie o sobie. Proszę mi wierzyć, starsi ludzie naprawdę nie są nikomu potrzebni.

Siadamy na ławce w parku, który w czerwcu pachnie jaśminami. Irena skarży się na firmy zewnętrzne, które na zlecenie opieki społecznej zajmują się osobami starszymi. Nie istnieją jasno określone wymagania, jakie kryteria ma spełniać opiekun. Wymagane jest co najmniej wykształcenie podstawowe. Firmy startują do przetargów, w których najważniejszym warunkiem jest cena. Ośrodek pomocy społecznej płaci takiej firmie na przykład osiemnaście złotych za godzinę pracy opiekunki. Ta dostaje z tego około sześciu złotych, na umowie cywilnoprawnej.

Rok temu Tomasz Pactwa, dyrektor Biura Pomocy i Projektów Społecznych w Urzędzie Miasta otwarcie przyznał w wywiadzie dla stołecznego dodatku „Gazety Wyborczej”, że „usługi opiekuńcze to najślabszy punkt w systemie pomocy społecznej”. Dlatego w maju 2017 roku ratusz stworzył Centrum Usług Społecznych (CUS) „Społeczna Warszawa”, które opracowało jednolite standardy pracy opiekunów osób starszych i ma kontrolować, czy są realizowane. Weszły w życie 1 lutego 2018 roku. Od tego dnia każdy opiekun będzie musiał ukończyć specjalny kurs doszkalający, zorganizowany przez CUS czy też przestrzegać kodeksu etycznego, nakazującego między innymi zwracanie się do osoby starszej per pan lub pani. Zatrudniony zostanie na umowę o pracę.

– Często nie dajemy rady z opiekunkami – wyjaśnia Irena. – Przykład: wiem, że opiekunka ma być u seniorki od ósmej do dziesiątej. Przychodzę o dziewiątej, jej nie ma. Seniorka mówi: „Była, wszystko zrobiła”. Lecę do następnego klienta, a tam to samo: „Była, przyniosła zakupy, to mi wystarczyło”. Idę dalej, a tam: „Już poszła”. Klienci kryją opiekunów, bo się boją. W końcu to często jedyny człowiek, który do nich przychodzi. Oczywiście zdarzają się opiekunki oddane i rzetelne, ale to wyjątek. Do tej pracy trafiają osoby przypadkowe, nieraz poranione przez

*Jest chora i sama. Na spacer może pójść na balkon, bo nie ma nikogo, komu zależałoby, by znieść ją z czwartego piętra i zawieźć do parku.*

życie. Kilka razy zapytałam opiekunkę: „Czy miała pani szkolenie?”. Odpowiedź zawsze jest taka sama: „Nie, żadnego”. Ministerstwo [Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej – przyp. E.W.-K.] powinno zrozumieć, że opiekunka jest najważniejsza w całym systemie opieki nad starszymi osobami. To musi być osoba wykwalifikowana i odpowiednio wynagradzana. Przez dwadzieścia siedem lat istnienia naszego Ośrodka Pomocy Społecznej nikt nie zainteresował się tym, jak wyglądają te usługi. Czy teleopieka to właściwe rozwiązanie? „Przycisk życia” nie zastąpi dobrego, wrażliwego opiekuna i sprawnej służby zdrowia. Naprawdę nie stać nas na to, by zadbać o najstarszych mieszkańców? Gasną w czterech ścianach.

W BIURZE POMOCY I PROJEKTÓW SPOŁECZNYCH przeglądam kilka numerów magazynu „Głos Seniora”. Jest współfinansowany przez Rządowy Program na rzecz Aktywności Społecznej Osób Starszych na lata 2014–2020. Program ma poprawić jakość życia starszych osób poprzez aktywność. Mobilizować. „Głos Seniora” właśnie to robi: zachęca starszych do korzystania z życia. Stałymi rubrykami są „Stylowa seniorka” i „Senior działkowiec”. W każdym numerze jest też informacja, jak

zadbać o zdrowie, by kiedyś wnuki mogły powiedzieć: „Dziadkowie żyli długo i aktywnie”. Czytam wywiad z DJ Wiką – urodzoną w 1938 roku Wirginią Szmyt, najstarszą didżejką w Polsce i ikoną aktywnych seniorów. Zapytana o to, jak nie dopuścić do depresji, odpowiada, że najważniejszy jest ruch: „Mam takie okresy, że mi się nic nie chce, że najchętniej bym została w domu, ale jest ta świadomość, że jak zostaną dwa czy trzy dni, to zostaną na zawsze. Moim sposobem jest wymuszanie na sobie aktywności, wychodzenie z domu – można wyjść do miasta, do kina, do klubu seniora”.

Raport Instytutu Pracy i Spraw Socjalnych (płacówka naukowo-badawcza nadzorowana przez Ministerstwo) z 2012 roku na temat sytuacji osób starszych w Polsce zwraca uwagę, że powiązanie pomyślnego starzenia się ze sprawnością fizyczną może wykluczać osoby, które zdrowe i samodzielne nie są: „Nastawienie na aktywne starzenie (...) może tworzyć fałszywy i zbyt pozytywny wzorzec starości, pozbawionej chorób i niewiele różniącej się od aktywności wieku średniego, co dla wielu seniorów jest nieosiągalne”.

„Głos Seniora” na czwarte nie dociera.

JOANNA MIELCZAREK od kilkunastu lat przygląda się starości. Patrzy na nią w każdy piątek, kiedy jako wolontariuszka odwiedza osiemdziesięcioletnią Marię. I w pozostałe dni, gdy kieruje Stowarzyszeniem „mali bracia Ubogich” (działa m. in. w Warszawie, Lublinie i Poznaniu). W 2013 roku uruchomiono telefon zaufania dla seniorów, działa dwanaście godzin w tygodniu. Każdego dnia dzwoni kilkanaście razy. Często również w nocy, kiedy w biurze nikogo nie ma. Starsze osoby nagrywają się na sekretarkę. Mówią, że są samotne. Że chcą mieć przyjaciela. Pójść z kimś na spacer. Organizacja wysłała do takiego seniora koordynatora wolontariatu, który pyta między innymi, jak starsza osoba wyobraża sobie wolontariusza. A wolontariuszy, których tygodniowo zgłasza się około dwudziestu, o obraz osoby starszej.

– Wielu opowiada o popularnym w Polsce stereotypie cieplej, starszej pani, która siedzi w kapcioszka na fotelu, przykryta kocykiem, tuląca się do kotka. Ale to człowiek z krwi i kości, który ma lepsze i gorsze



dni – mówi Joanna. A ich stowarzyszeniu chodzi o to, żeby między wolontariuszem a seniorem zaiskrzyło, żeby relacja przetrwała lata.

Jak jej z Marią, która mieszka na szóstym piętrze. W tym bloku jest winda, ale staje na wysokim parterze. Podopieczna Joanny ma wprawdzie sprawne, ale czy nie. Wzrok traciła stopniowo, teraz nie widzi już wcale. Wprawdzie Joanna nauczyła ją, który przycisk ma wcisnąć w windzie, gdzie jest poręcz, gdzie zaczynają się i kończą schody i jak dojść do sklepu, ale Maria nie umie pokonać schodów, które tkwią w niej. Boi się, że ktoś za nią idzie. Stresuje, czy nie opóźnia tego kogoś, którego obecności nie jest pewna. Żeby nie robić problemów sąsiadom, woli nie wychodzić w ogóle. Czeka na piątek i na Joannę.

Przesadza w swej obawie przed sąsiadami? Część seniorów, którymi opiekują się „mali bracia Ubogich”, mieszka na Bielanach i Żoliborzu w pięciopiętrowych blokach bez wind. Schody są tam wyslizgane i niebezpieczne, ale niektórym udaje się zejść i wyjść, choć z trudem. Stowarzyszenie przed paroma laty pytało sąsiadów, czy zgodzą się, by na półpiętrach ustawić krzesła. Starsza osoba przysiadzie, odpocznie i pójdzie dalej. Udało się w połowie bloków.

Sąsiedzi mówili: – To niepotrzebne.

Wolontariusze: – Pani Beata mieszka tu od sześćdziesięciu lat.

Sąsiedzi: – No to co? Opiekunka może jej zrobić zakupy. Nie musi wychodzić.

Wolontariusze: – Co państwu szkodzi się zgodzić?

Sąsiedzi: – To nieestetyczne.

Lub: – Od razu będzie widać, że tu mieszkają chorzy ludzie.

A czasami: – Przyjdą i ukradną.

A więc Maria czeka na Joannę.

– Nie chodzi o to, by kupić kartofle – tłumaczy Joanna. – Równie dobrze może to zrobić opiekunka. W kartoflach chodzi o godność. Mam czas, żeby podejść z Marią do każdego produktu, żeby wzięła w dłoń pomidory, dotknęła jabłek i sama podjęła decyzję, które chce kupić.

Potem piją herbatę, czytają korespondencję, omawiają plany na najbliższy tydzień. Joanna regularnie powraca w rozmowie do jednego: najpierw czyta zakres

obowiązków opiekunki, a potem pyta, co ta zrobiła w danym tygodniu. Jej podopieczna nieustannie dziwi się temu, co słyszy.

– Opiekunka Marii nie prasuje, bo nie lubi. Nie obiera warzyw, bo nie chce. Nie gotuje, bo nie umie. Zapisuje do lekarza i odkurza, jak wie, że mam przyjść – wylicza Joanna. – Zaobserwowaliśmy, że opiekunka lepiej wypełnia swoje obowiązki, jeśli wie, że do starszej osoby przychodzi wolontariusz. Bo pojawia się ktoś, komu na podopiecznym zależy i kto może się upomnieć o jego prawa. Namawiam, by Maria zapytała, kiedy opiekunka zacznie wypełniać swoje obowiązki. Ale ona boi się, że wtedy się obrazi i będzie jeszcze gorzej. Zresztą ta, która do niej przychodzi, już kiedyś wspomniała, że jedną z podopiecznych przestała odwiedzać, gdy zwrócono jej uwagę.

—  
SYNDROM CZWARTEGO PIĘTRA dotyczy nie tylko Warszawy. Pracownicy socjalni mówią, że podobnie jest też w mniejszych miastach, szczególnie uprzemysłowionych za PRL-u, do których emigrowali mieszkańcy wsi. Zasiedlali ciasne M-1 i M-2 w pośpiesznie wznoszonych blokach. Teraz mają po siedemdziesiąt lat. Ich dzieci wyprowadziły się i zostali sami. Z raportu opublikowanego w 2012 roku przez Międzynarodowy Instytut Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie wynika, że niemal co trzeci wiekowy senior narzeka na bariery architektoniczne, które utrudniają mu wychodzenie z domu. Najczęściej jest to brak windy. Ale mimo to nie chcą zmieniać swojego miejsca zamieszkania. „Na postawy polskich seniorów wciąż silnie oddziałuje kod kulturowy – «starych drzew się nie przesadza»” – podsumowują eksperci.

—  
NA WARSZAWSKIEJ PRADZE jest miejsce potocznie nazywane Osiedlem Bezdomych Kochanków. W 1956 roku robotnicy z czterestu stołecznych zakładów pracy (między innymi Warszawskiej Fabryki Motocykli, Fabryki Samochodów Osobowych i Zakładów Wytwórczych Lamp Elektrycznych im. Róży Luksemburg) założyli największą w Polsce spółdzielnię mieszkaniową i stwierdzili, że zbudują sobie osiedle. „Sztandar Młodych”

pisał: „Każdemu uczciwemu, czującym człowiekowi robi się cieplej na myśl o schronieniu dla bezdomnej miłości, o kącie dla dzieci, przyzwoitym dachu nad głowami Warszawczyków”. Tym szczerzej o tym kącie pisał, że co czwarty pracownik redakcji cierpiał na brak „godziwego mieszkania”. Nazwa Osiedle Bezdomych Kochanków niektórym wydawała się zanedo bezpruderyjna, stało więc na Osiedlu Młodych. Dwadzieścia osiem budynków (dziewięć mających pięć kondygnacji, pozostałe – trzy) zajęli się młodymi ludźmi, jeszcze bez dzieci albo z dziećmi małymi jak drzewa, które posadzili na podwórku.

Drzewa wyrosły wysokie, kochankowie się przygarbili. Co piąty mieszkaniec ma ponad osiemdziesiąt lat. Wśród nich Stefan Ciechanowicz, jeden z architektów osiedla, który ciągle tu mieszka.

– Myśmy wychodzili z założenia, że projektujemy nie mieszkania, a życie. Że tu się wprowadzasz i tu umierasz – opowiada.

Mówi, że w planach było wybudowanie przychodni, a obok niej mieszkań przystosowanych dla seniorów.

– Pomysł był prosty: specjalne pokoje, do których osoba starsza mogłaby się przenieść po oddaniu swojego mieszkania. Pozostałaby w znanym sobie środowisku i była pod opieką lekarza i pielęgniarki. Nic lepszego nie można by sobie wymarzyć, prawda? – pyta Stefan.

Projekt nigdy nie został zrealizowany. Zmieniły się władze spółdzielni, a młodzież nie była zainteresowana, bo nie myślała, że się zestarzeje.

—  
KOŚCIĄ NIEZGODY wśród kochanków stały się windy, a raczej ich brak. O ile w budynkach o trzech kondygnacjach nie ma możliwości zamontowania dźwigów, to już w pięciopiętrowych jest. Zarząd zbadał sprawę: winda kosztuje około trzystu tysięcy złotych, więc każdy mieszkaniec musiałby dopłacać piętnaście złotych miesięcznie. Ale ci z niższych budynków podnieśli rwestes, że nie chcą płacić na luksus tych z wyższych. Sześćdziesięciu czterech lokatorów w administracji osiedla złożyło pismo zaczynające się słowami: „Nie wyrażam zgody na montaż wind w punktowcach z funduszu remontowego,



czyli funduszu wszystkich członków...” i spółdzielnia na razie z pomysłu się wycofała.

A że osiedle duże, w sprawie wind krążą różne pogłoski.

Kobieta w białej tunice, pięćdziesięciolatka, z niższego budynku: – Kto pani takie bzdury naopowiadał?! Ja bym nie chciała, żeby sąsiadka z czwartego piętra miała windę? Gdzież! – oburza się. – Żeby sobie zapewnić głosy w wyborach na walnym zebraniu, administracja obiecała tym starszkom windy, po czym się okazało, że nikt nie sprawdził, czy w ogóle jest taka możliwość. Wpuścili ludzi w maliny.

Kobieta z wózeckiem na zakupy, lat osiemdziesiąt trzy: – Mieszkam tu pięćdziesiąt siedem lat i jak wybierałam mieszkanie, świadomie wzięłam parter z ogródkiem. Byłam w ciąży, miał urodzić się dzidzius. Jak ktoś kupił potem albo dostał po babci, to czemu ja mam płacić za tego windę?

Mężczyzna, po siedemdziesiątce, z jamnikiem. Wprawdzie jak miał strzaskaną nogę, to przez rok wchodził na trzecie piętro o kulach, ale śpiewa: – W tym jest rzeczy sedno,

że jest mi wszystko jedno, już taki jestem zimny drań...

Młoda para wysiadła z eleganckiego BMW, na bagażniku naklejka Polski Walczącej i napis „Pamiętamy”. Ona: – Tak, to prawda. Mieszkańcy na walnym zgromadzeniu nie zgodzili się na windy, bo to kosztuje. Nie, nie wiem ile.

– A co mają robić ci starsi, którzy nie mogą wydostać się ze swoich mieszkań? – pytam.

– Nie słyszałam, żeby na tym osiedlu był ktokolwiek, kto z powodu windy nie wychodzi. Raczej nie ma tu takich.

Są.

Najprawdopodobniej pierwsza o windy zaczęła zabiegać Weronika, właścicielka kawalerki na piętrze trzecim. Najpierw poprosiła sąsiadów o zaświadczenia lekarskie, potem włożyła je do koperty i zaniósła do administracji. Koperta była gruba. W segregatorze przechowuje kopie. Pierwsze z brzegu: „Marianna, ur. 1912: masywne zwyrodnienie układu kostno-stawowego, uniemożliwiające samodzielne poruszanie

się...”. Drugie: „Romuald, ur. 1935: znaczne upośledzenie sprawności chodu...”. „Bożena, ur. 1935: reumatoidalne zapalenie stawów, zaburzenie równowagi, ostrości wzroku, chodu...”. W każdym adnotacja: „nie wychodzi”, w niektórych: „konieczna winda”.

Mieszkanie Weroniki jest pełne kwiatów doniczkowych, dekoracyjnych talerzy, figurek. Łazienka po remoncie lśni różowo. Ani grama kurzu. Na stoliku leży książka *Zdrowe stawy, lepsze życie*.

– Pamiętam pierwszy dzień w tym mieszkaniu. Mieliśmy taboret, mały czeski telewizor i tapczan dwuosobowy. Usiedliśmy na nim z mężem i płakaliśmy pół godziny ze szczęścia. Czy ja zastanawiałam się wtedy, że będę stara i będę miała kłopoty z wchodzeniem? – Weronika płacze, ale szybko wyciera oczy, podnosi podbródek i pewnie mówi: – Grałam w siatkę, tańczyłam. Chłopacy za mną latali jak cholera. Mam skończone siedemdziesiąt siedem lat i nie wiszą mi chomiki, no i energii trochę mam. Jak Zosia z góry mnie zobaczy, to zaczyna całować i prosić o te windy. A ja niewiele mogę pomóc. – Znowu płacze i ponownie po kilku sekundach sobie tego płaczu zabrania. – Idziemy do Zosi, pokażę, jak to wygląda – rozkazuje.

Piętro czwarte. Dwoje starszych ludzi, Zofia i Romuald. On nie wychodzi od czterech lat.

– Przewraca się, poobijany jest. Tak by chciał jeszcze na dół zjechać. Wózek mam, ale co z tego? Nie radzę już sobie. – Zofii drży głos. – Wcześniej mieszkaliśmy w hotelu robotniczym, czworo nas było na dziewięciu metrach. Gdzie dawali mieszkanie, tam wzięłam. A teraz... – Pokazuje zdjęcia córek, zawieszane na ścianie w małym pokoiku obok. – To są moje dzieciątka. Takie córcie miałam, zawsze się śmiejące. Bozia zabrała mi je jedną po drugiej. A mąż chory. – Zofia płacze.

Weronika też chlipie, po czym szepcze na boku: – Pani zobaczy, dziewczyna robi, co może, resztkami sił. Mieszkanie sprząnięte! Od dźwigania opuściła się jej macica i chcieli ją zatrzymać w szpitalu, ale bez niej on by umarł.

– Lekarz powiedział, że na operację za późno, bo mam osiemdziesiąt osiem lat. Muszę odpoczywać. Wychodzę do sklepu, to mówię do męża: „Masz nie podnosić się



z fotela. Jak wrócę, to dam ci coś za grzeczność. Kawę albo czekoladkę”.

Schodzimy niżej. Drzwi otwiera osiemdziesięciodwuletnia kobieta o zmęczonych oczach.

– Pani pokaże swoje rączki, sąsiadko! – prosi Weronika. W wykręconych niczym korzenie starego drzewa dłoniach kobieta trzyma ziemniaka. – Mam nieuleczalny gościec i połamany kręgosłup – tłumaczy.

Weronika już idzie dalej. Piętro drugie.

– Pokazuję pani, jak się żyje w bloku bez windy – szczebiocze.

W ciemnym pokoju przed telewizorem siedzi troje starszych ludzi. Na fotelu Maria (sto pięć lat), a na kanapie jej córka Halina z mężem Tadeuszem (oboje ponad siedemdziesiąt).

Tadeusz: – Marnie się żyje. To mieszkanie zmieniło się już w dom starców.

Halina: – Mama z balkonikiem to tylko do łazienki i z powrotem na fotel, a jeszcze pięć lat temu była z nami na działce. Potem się przewróciła, wszczepili jej endoprotezę. Od tego czasu nie wychodzi. Ile razy do mnie mówi: „Poszłabym chociaż do apteki z tobą...”.

Tadeusz: – W młodości budowaliśmy tę drogę za oknem. My, proszę pani, jesteśmy już historyczni.

Jeszcze niżej.

– Sąsiadka spod siódmki nie otworzy, bo jest po kolejnej operacji kręgosłupa. – Weronika dzwoni do mieszkania obok. Przez dłuższą chwilę odpowiada jej cisza. Wreszcie otwiera starsza kobieta, która na nasz widok z zakłopotaniem wygląda spodnicę i poprawia koszulkę. Z trudem stoi.

– Ciężko się chodzi – przeprasza i więcej nic nie mówi.

Weronika żegna się ze mną:

– Płakać się chce, jak się nas ogląda, prawda? Ja sama miałam rwę kulszową, mam dyskopatię kręgosłupa. Lekarz zabronił nosić więcej niż dwa kilo. Na zakupy biorę swoją karetkę, a potem ciągnę na górę schodek po schodku. Jak już wejść do siebie, to jestem cała mokra. O, takie jest życie starych ludzi. Tragiczne.

—  
NIE WSZĘDZIE. Jest w Warszawie mieszkanie, w którym można zobaczyć starość

w jaśniejszych kolorach. Dokładnie w białym i błękitnym. Znajduje się na piątym piętrze w bloku z windą. Na zamkniętym podwórku z ochroną rośnie równo przyszyta trawa i kilka krzaków hortensji. Para architektów, Jan i Agnieszka Cieślowie, kupiła i zaprojektowała ten lokal z myślą o starzejących się rodzicach, którzy lubią morze, stąd błękit i biel na ścianach oraz zdjęcia z ich nadmorskich wakacji. Ale na razie rodzice mają się dobrze i o przeprowadzce ani myślą.

– Zrobiliśmy błąd. Marketingowy. Powiedzieliśmy, że to mieszkanie na starość – opowiada Jan Cieśla. Stoi więc puste. Ale można się umówić, przyjść i obejrzeć:

Fotel (nazywany przez architektów Centrum Dowodzenia Światem). Wystarczy lekko odepchnąć się stopą od podłogi i już sunie. Lub wcisnąć guzik i nogi się unoszą, niczym na leżaku na plaży, z czasów, gdy się lubiło prażyć na słońcu.

*Płakać się chce, jak się nas ogląda, prawda? Na zakupy biorę swoją karetkę, a potem ciągnę na górę schodek po schodku. Jak już wejść do siebie, to jestem cała mokra.*

Kanapę. Młodzi siadają bezwiednie, starzy opadają bezwładnie. W tym meblu nie zapadną się, nie uderzą głową, a wstaną z łatwością.

Łazienkę. Nie ma w niej wanny ani brodzika, tylko krzeselko zamontowane na ścianie, a przy nim prysznic. Kotara z tkaniny obciążonej na dole, żeby się nie przyklejała do mokrego ciała. Podłoga podgrzewana, by szybko schła i trudniej było się na niej położyć. A nawet jeśli nogi zawiodą, to można złapać za kotarę, która zadziała jak system ABS w samochodzie. Będzie hamowała, stopniowo zrywając się z listwy i spowalniając upadek.

Sedes. Równie wygodny co fotel z salonu, tyle że jeździć się nie da. W podłokietnikach ma przyciski. Pierwszym spuszcza się wodę. Drugi uruchamia bidet z ciepłą wodą, trzeci osuszający wietrzyk. Czwarty włącza pochłaniacz nieprzyjemnych zapachów.

Kuchnię. Błat można dowolnie obniżyć. Szafka po wciśnięciu guzika otwierają się.

Przedpokój. Na tyle duży, że nawet na wózku można elegancko przywitać gości.

Drzwi. Zamiast judasza kamera i ekran.

Sypialnię. A w niej materac, który dostosowuje się do temperatury ciała. Stolik nocny z miejscem na telefon komórkowy, który ładuje się w sposób bezprzewodowy. Programowane zasłony otwierają się wraz ze słońcem. Oświetlenie zmienia się w zależności od pory dnia: im bliżej wieczoru, tym cieplejsze, kojące do snu.

Przychodzą do tego mieszkania deweloperzy, zaglądają emeryci, wpadają pracownicy socjalni. Patrzą, dotykają i pytają: „A ile to kosztuje?”. Fotel, z którego można rządzić światem: osiem tysięcy dziewięćset złotych. Łóżko z materacem: siedem sześćset. Krzeselko prysznicowe: cztery.

– Nie musimy od razu wprowadzać wszystkich ulepszeń. Ale chcemy pokazać, że najlepszym sposobem na zdrową starość jest samodzielne mieszkanie jak najdłużej – tłumaczy Jan Cieśla. – W takim mieszkaniu to możliwe. Drogie? Dom opieki w Warszawie to około pięć tysięcy miesięcznie.

I dodaje, że po sześćdziesiątym piątym roku życia każda przeprowadzka jest szokiem. Dlatego Wzorcowe Mieszkanie Seniora, jak Cieśla oficjalnie nazywa lokal, jest skierowane do tych, którzy są jeszcze młodymi seniorami albo mają świadomość, że starość zaraz przyjdzie.

– Tak urządzamy swoje mieszkanie, żeby dłużej pozostać samodzielnymi. Wówczas nasze poczucie godności nie będzie zagrożone. Chwila, w której zaczynamy być obsługiwani, jest początkiem równi pochyłej. Oczywiście należy ratować więźniów czwartego piętra, tyle że oni już wpadli w tę matnię – kończy Cieśla.

—  
HALINA, LAT OSIEMDZIESIĄT SZEŚĆ, o Wzorcowym Mieszkaniu Seniora nie słyszała. Pół wieku pracowała w księgarni na Politechnice Warszawskiej, a po przejściu na emeryturę wciąż regularnie spotykała się ze swoimi koleżankami z pracy. Od dwóch lat one nie są w stanie już jej odwiedzać, bo mieszka za wysoko. Na czwartym. Z tego powodu

Halina ciągle kłóci się z mężem. Choć ten nie żyje od dwudziestu ośmiu lat.

– Jak dostaliśmy mieszkanie, to mówię do niego: „Józek, a co będzie, jak się zesterujemy?”. A on: „Co się martwisz. Bliżej emerytury mieszkanie się zamieni”. Ale on zmarł i nic go nie obchodzi, że jak tak się męczę. Nieraz patrzę na zdjęcie i wymyślam mu: „I co, ty sobie tam spokojnie leżysz, a mnie jest tak trudno już wchodzić!” – mówi cicho, ale wojowniczo. – Warszawa po powstaniu to była masa gruzu, z której wystawały kikuty domów. Wychodziło się na ulicę i płakało. Ludzie mieszkali w suterrenach. Mieliśmy tylko wodę i światło. A tu gaz, centralne ogrzewanie, ubikacja. Coś niesamowitego.

Ręce jej drżą, porusza się z trudem, ale układa na stole serwetki w biało-czerwone zygzaki, stawia talerzyki, poprawia filiżanki. Bardzo starannie rozkłada ciastka. „Widelczyk”, „łyżeczka”. Patrząc na Halinę, też mam ochotę zdrabniać. Że jej białe sweterek ma kołnierzyk i guziczki.

Po śmierci męża postanowiła zrobić to, do czego zachęcają twórcy Wzorcowego Mieszkania Seniora, czyli przygotować się do starości. Wymieniła terakotę (bo łatwiejsza w utrzymaniu czystości), okna (wstawiła plastikowe, których nie trzeba rozkręcać podczas mycia) i wannę (na niższą).

– Nie myślałam jednak, że tak będzie mnie bolał kręgosłup... – Płacze. I sili się na żart: – Po wojnie nie mogłam się kąpać w domu, bo nie miałam wanny. A dzisiaj mam wannę, ale nie mogę się kąpać, bo nie mogę do niej wejść. – Teraz by chętnie mieszkanie odnowiła, ale nie ma gdzie się wyprowadzić na czas remontu.

– Dlaczego nie zamieniła pani mieszkania na takie na parterze? – pytam.

Halina milczy przez dłuższą chwilę.

– Nie sądziłam, że będę tyle lat żyć po śmierci męża. Byłam tak załamana, że wydawało mi się, że najlepiej będzie, jak też odejdę. Ale nie odeszłam i teraz to nie takie łatwe. Z kim się zamienić? Nikt, kto ma lepsze, nie pójdzie na czwarte piętro.

Przynosi zeszyt, gdzie wpisuje wizyty u lekarzy. Kilka lat do przodu. Co miesiąc po sześć, siedem. Każdy miesiąc wykaligrafowany na osobnej kartce. Miała operowane obie dłonie, ma chory kręgosłup, jest po mastektomii, od pięciu lat jeździ na tak zwaną

blokadę bólu, która polega na znieczuleniu nerwów. Wtedy przez jakiś czas mniej boli.

Kiedy mówi, że nie daje rady dojść do komunikacji miejskiej i musi taksówką, co jest dla niej olbrzymim wydatkiem, to zaczyna płakać. I zaraz przeprasza.

– Najgorsze choroby to pół biedy w porównaniu z tym, jak wygląda wojna – mówi. Miała ośmiu braci i trzy siostry. Nie żyją, ona była najmłodsza. – Proszę pani, jakby wszystko było okej i człowiek się dobrze czuł, toby chciał żyć tysiąc lat. Musi wszystko wysiadać, żeby nie mieć chęci do życia.

—  
Z PROGRAMU warszawskich Dni Seniora, które odbyły się we wrześniu 2017 roku (dziesięć dni, trzysta sześćdziesiąt wydarzeń w niemal stu pięćdziesięciu miejscach w Warszawie):

Warsztaty kaligrafii japońskiej.

Smartfon bez tajemnic – indywidualne zajęcia komputerowe.

Dancingowy wieczorek z seniorem. Wejście za free!!!

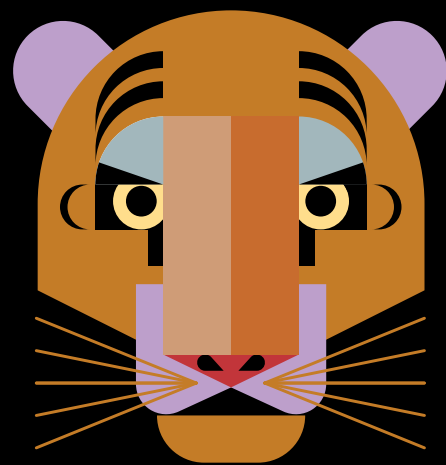
M jak motywacja – warsztaty dla tych, którzy chcą dojść do celu.

—  
NIERAZ ZDARZA SIĘ, że nasi wolontariusze są starsi od swoich podopiecznych – mówi Joanna Mielczarek ze Stowarzyszenia „mali bracia Ubogich”. – Energiczni zdrowi seniorzy opiekują się tymi mniej sprawnymi, bo doskonale rozumieją, czym dla starszego człowieka może być poczucie osamotnienia albo bezsens życia. Zresztą wiele starszych osób ma depresję, ale do psychiatry w życiu nie pójdzie.

Według danych Głównego Urzędu Statystycznego w 2016 roku 646 Polaków w wieku siedemdziesięciu lub więcej lat sobie to życie odebrało.

Autorki i autorzy „Pisma” wskazali ten reportaż jako najlepszy, jaki ukazał się na łamach magazynu. Był nominowany m.in. do European Press Prize, True Story Awards, Nagrody im. Wojciechowskiego.

# PIĘĆ SMĄKÓW



16.11

— 4.12

warszawa, online

retrospektywa: Edward Yang

nowe kino azji

japan feel-good

hongkong: kino czasu przemian





# To nie jest kwestia hematologii

z profesorem KAROLEM MODZELEWSKIM  
rozmawia KALINA BŁAŻEJOWSKA

Rozmowa ukazała się w numerze 11/2018

WSTYD JEST OBJAWEM UCZUĆ patriotycznych.

Jeśli uwiera mnie coś, co uczynili Polacy, to znaczy, że łączy mnie z nimi więź.

**Jakie ma pan plany na 11 listopada?**

Żadne, prawdę mówiąc.

**Dostał pan zaproszenie na obchody?**

Nic takiego nie dostałem.

**A do Komitetu Obchodów pana zaproszono?**

Nie. Kto jest w tym Komitecie?

**Prawie sto osób, głównie polityków i szefów rozmaitych związków. Jest też podgrupa „szczególnie zasłużeni dla Państwa Polskiego”.**

To pewnie jacyś dziadkowie, którzy walczyli w Legionach. Może jeszcze żyją.

**Musieliby mieć 120 lat... A więc państwo polskie w stulecie niepodległości w żaden sposób się o pana nie upomniało?**

Jestem tak wychowany i tak doświadczony, że jak państwo się o mnie nie upomina, to ja się cieszę.

**A gdyby pan dostał zaproszenie na oficjalne uroczystości, toby pan poszedł?**

Nie mam pojęcia, nie rozważałem takiej możliwości. Zresztą zakładałem, że nie dostanę.

**Dlaczego?**

Bo nigdy nie dostawałem. Otrzymałem tylko – przez pośrednika – propozycję udziału w Narodowej Radzie Rozwoju, z której nie skorzystałem.

**Za czasów prezydenta Dudy?**

Oczywiście, przedtem ciała o nazwie Rada Rozwoju nie było. Zapytałem: „Rozwoju czego?”, ale nie dostałem odpowiedzi.

**Pytam, bo istnieje dylemat, czy z obecną władzą powinno się cokolwiek świętować. Niektórzy demonstracyjnie nie przychodzą na państwowe uroczystości, inni demonstracyjnie z nich wychodzą.**

Jeśli mam być szczery: dziękuję organizatorom, że mnie nie zaprosili. Nie musiałem się nad tym zastanawiać.

**Niektórzy odmawiają też przyjmowania odznaczeń. Na stulecie niepodległości prezydent ma przyznać dwudziestu pięciu osobom pośmiertnie Ordery Orła Białego: Żeromskiemu, Reymontowi, Skłodowskiej-Curie... Są w tej komfortowej sytuacji, że nie mogą odmówić.**

A ja jestem w tej komfortowej sytuacji, że nie można mi tego orderu po raz drugi przypiąć. Dostałem jeszcze od Kwaśniewskiego. Cóż, miło mi, że panią Skłodowską-Curie będę mieć wśród towarzyszy.

**Może coś innego zwróciło pana uwagę w tych obchodach?**

Wie pani, trochę wypadłem z obiegu, jeśli chodzi o informowanie się o różnych pikanteriach. Ostatnio miałem trzeci udar mózgu. Wprawdzie trafiło mnie – jak

PROF. KAROL MODZELEWSKI (1937–2019), historyk mediewista, działacz opozycji demokratycznej, dysydent i więzień polityczny. Kawaler Orderu Orła Białego. Autor nagrodzonej „Nike” autobiografii *Zajeżdżimy kobyłę historii. Wyznania pobijanego jeźdźca*.